

Kamińskiej czas lubelski

Obyczaj, a nawet kanon stylistyczny tekstów żałobnych powoduje, że uwypukla się w nich - często nad miarę - dodatnie strony osobowości zmarłego. Owszem, jest to słuszne, „o umarłych nic, jeśli niedobrze”, jak wymagali starożytni, ale w ten sposób z treści przemówień pogrzebowych wynika, że umierają tylko geniusze i święci, a ludzie zwyczajni są nieśmiertelni. Dlatego pisząc o zmarłej niedawno Annie Kamińskiej nie zamierzam czegoś w rodzaju „summa vita”, czyli bilansu życia. Chcę tylko wziąć do ręki kilka małych obrazków dotyczących jej pobytu w Lublinie. Małych bo nie zawierających jeszcze formatu dokonania późniejszych.

Poznałem ją w czasie okupacji. Wtedy życie umysłowe - już ten termin jest przesadny - mogło się rozwijać tylko pokątnie, za pośrednictwem przypadkowych kontaktów osobistych, więc zainteresowani tym bardziej cenili nadarzącą się ku temu okazję. Kiedyś Zygmunt Kałużyński powiedział mi, że zaprowadzi mnie do pewnej koleżanki (tak, chodziła przed wojną do gimnazjum żeńskiego w Lublinie) pisującej wiersze, ciekawej pod względem intelektualnym i ciekawej nowych na tym polu znajomości. Jak w czasie okupacyjnego głodu umysłowego tego nie podchwycić. Mieszkała na ulicy Bonifraterskiej (obecnie Biernackiego) w domu dość dziwnie usytuowanym na górze. Odczytała coś niecoś z rzeczy aktualnie pisanych, ale chodziło głównie o nawiązanie kontaktu, znalezienie się we wspólnocie zainteresowań w tym czasie jakże duchowo i intelektualnie wyjąłwiających.

Po wyzwoleniu przystąpiła do pracy w tygodniku „Wieś” i pisywała tam artykuły na temat literatury chłopskiej. Nie popłynęła z pierwszą falą migracji po wyzwoleniu Warszawy na zachód przez kilka (ale nielicznych, coś koło trzech) lat przebywała jeszcze w Lublinie studiując filologię klasyczną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Tak więc spotykaliśmy się dodatkowo na ławie uniwersyteckiej. Dosłownie na ławie. Jeszcze dziś pamiętam prymityw wyposażenia tej uczelni w pierwszych latach po wyzwoleniu, po powrocie do stanu posiadania po jakichś niemieckich koszarach. Nie dam już głowy, ale coś mi się kołacze w pamięci, że nawet nie było klamek.

Żona naczelnego redaktora „Życia Lubelskiego” Hipolita Bolesławskiego, miała skłonności literackiego mecenasowania. Pochwalone niech będą takie żony. Za jej sprawą lubelscy młodzi od czasu do czasu mieli możliwość zaznania tej radości, jaką sprawia ujrzenie swego tekstu w druku. Nie powiem, że ujęty byłam rodzajem poetyki, jaką stosowała Kamińska. Przewaga treści intelektualnych nad emocjonalnymi, brak poetyckiej muzyczności słowa, co przechylało utwór w stronę prozy, dosłowność zamiast aluzyjności - to czyniło ze mnie czytelnika chłodnego, nie zaangażowanego. Ale Kamińskiej aktywność, a właściwie - użycie słówka „nadziejność”, bo

możliwości praktycznych za dużo nie było, w intencji dochrapania się gwaranta publikacji, przekonywała. Razem z nią chodziłem do Bolesławskich w celu wymolestowania w „Życiu lubelskim” autonomicznej wkładki literackiej. Niestety, została z niej tylko propozycja tytułu: „Próby”, cała reszta legła przytłoczona trudnościami finansowymi, z którymi jeszcze żadnej grupie literackiej nie udało się wygrać. Naczelny miał rację: „Dobrze, ale kto to będzie kupował?”

Któregoś dnia, jeszcze przed wiosną 1945 roku, dowiedziałem się do niej, że w Lublinie powstał dziennik „Gazeta Lubelska” który - przez brak pracowników - nie miałby nic przeciw zaangażowaniu lubelskich młodych literatów. Zgłosiliśmy się. Z początku było to połączone z pewnym szokiem, bo redakcja mieściła się w lokalu opuszczonym przez „Rzeczpospolitą”, a więc duża sala, przedpokoje, zapokoje, biurka jak w pracowni badań urbanistycznych i to wszystko na użytek właściwie maleńkiej redakcyjki. Rychło też została przeniesiona gdzie indziej (niedaleko, też na Krakowskie, w okolice dzisiejszej „Lublinianki”) ustępując miejsca Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR. Naczelnym był Witold Giełżyński, postać Lublinowi znana jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy głównie chyba przesiadywał w więzieniu, bo był redaktorem odpowiedzialnym pisma o wcale nie proreżimowej orientacji. Ale nasz dziennikarski debiut wypadł anemicznie. Redaktor wymagał od nas informacji o tym, gdzie można tanio kupić zelówki, a nie przepisu na zbawienie świata, stąd gruntowne nasze nieporozumienie. W dodatku Kamińską „podpuścił” jakiś gdzieś naczelnik wydziału „bajerując” jej o przygotowaniach do budowy metra w Lublinie, co Kamińska z ufnością chciała przekształcić w dziennikarski szlagier. Tekst został zatrzymany, ale łatwo sobie wyobrazić markę dziennikarza po takiej wysypce. Czyli „pierwsze koty za płoty”. „Drugie koty” Kamińskiej były fortunniejsze, już po wyjeździe do Warszawy została kierownikiem działu poezji w tygodniku „Nowa Kultura”. Zaczęła publikować, wtedy ustaliła się jej pozycja w literaturze współczesnej.

Kilka numerów temu w „Przeglądzie Tygodniowym” pisał o niej Piotr Kuncewicz w artykule „Damy z Lublina” (druga to Julia Hartwig). Nie wiedziałem jak niewiele upłynie czasu, by ta liczba mnoga w tytule przestała być aktualna. Mimo to jest tu dla mnie coś stałego. Odwiedzałem Kamińską i w Warszawie, ale nigdy - szczególnie teraz, po śmierci - nie mogłem przyjąć, uznać, zgodzić się, że przestała być lublinianką.